

LIŚCIE NA WIETRZE cd.

Miejsce przeznaczenia – posiołek Obil

Okazało się, że w tych kilku barakach „pomieściło się” ponad siedemdziesiąt rodzin. Nie mieliśmy żadnych warunków do jako takiej egzystencji. Nie było kuchni (jedynie płyta z czterema fajerkami), ani umywalki, nawet miejsca na nią. Pod ścianą stał niewielki stół i parę taboretów skleconych na prędcie i byle jak.

Na płycie mama gotowała jakieś jedzenie z zapasów przywiezionych z Polski. Długo czekało się na ugotowanie go - było aż pięć rodzin z nami w baraku. Powietrze wisiało ciężkie i wilgotne. Okna na głucho zabite gwoździami. Zimą nie otwierano okien, pannaował zbyt silny mróz.

Wstałam niewyspana, zmęczona i smutna. Nie miałam się gdzie umyć, ani w co ubrać. Rzeczy były mokre i brudne.

Ktoś powiedział, że jest czynna stolówka, więc Emil pobiegł i przyniósł jakąś straszną czarną polewkę, ale była nie do zjedzenia. Cuchnęła z daleka i żadnej krupki ani kartofla z niej nie wyłowiałam. Mama dała nam chleba z miodem i przegotowaną wodę do picia. Absolutnie się nie najadłam. Usiadłam w kącie i cichutko płakałam.

Mama chciała nas choć trochę domyć i przebrać w coś czystego. Przeglądała rzeczy i wówczas zjawiła się jakaś wredna ciężarna Rosjanka i kazała kobietom z dziećmi iść do *bani*. W puszcze po konserwie przyniosła brud-

noszącą maź i powiedziała, że to jest mydło. Było to tak śmierdzące, że nos wykręcało w drugą stronę. Poleciała również wziąć wszystkie rzeczy z podróży do dezynsekcji, czyli do pomieszczenia obok łaźni, gdzie miało być około 100°C. Tam powinny zginąć insekty, które nawieźliśmy z Polski, bo u nich panuje czystość i porządek i *parazitow* nie ma. Ona jest tutaj od tego, aby dbać o higienę (!) w *posiołku* i ona dopilnuje, że będzie czysto.

Bez słowa zwinęliśmy naszą pościel, palta i inne rzeczy i poszliśmy za nią. Pod lasem (zresztą dookoła był wyłącznie las) weszliśmy do sieni drewnianego domku, z której jedne drzwi prowadziły do łaźni, a drugie do pakamery na dezynsekcję. Stałam i bez ruchu patrzyłam na mamę i Rosjankę układające nasze rzeczy na półkach. Dezynsekcja miała trwać pół godziny, a my z mamą powinnyśmy się wymyć w łaźni przez ten czas.

Rosjanka wrzasnęła na mnie i Marysię, żebyśmy się rozebrały. Po tej okropnej nocy wszystko, co miałam robić napawało mnie grozą. Otworzyła drugie drzwi i stamtąd buchnęła gorąca para, więc chwyciłam mamę i przycisnęłam się do niej zasłaniając oczy. Bałam się, że para wypali mi je. Nic nie widziałam. Golutka stałam przy drzwiach, zasłaniałam oczy i głośno płakałam. Za nic nie chciałam wejść do środka. Rosjanka próbowała mnie wciągnąć, lecz ja opierałam się i kąsałam ją (nie mogłam jej bić, bo rękami

przyciskałam oczy), ale ona była silniejsza. Wtaszczyła mnie do wewnątrz i jak szczeniaka rzuciła na dolną półkę. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Zerwałam się, szarpałam drzwiami, krzyczałam, ale drzwi nie puściły. Poślizgnęłam się i upadłam, darłam się więc jeszcze głośniej. Mamie udało się jakoś wejść do środka, podniosła mnie ze śliskiej podłogi i rozcierała moje potłuczone kolano. Rosjanka wyrwała mnie z rąk mamy i znów wepchnęła na półkę i kazała mamie natychmiast zebrać się i wchodzić, bo *bania* wystygnie. Mama powiedziała, że u nas nie było takiego zwyczaju, by dorośli myli się razem z dziećmi, ale ona sięgnęła z mamy halkę i cały czas rugała za przywiezione wszy z Polski. Wtedy mama odezwała się: „A *klopy*, omal nas nie zjadły dzisiejszej nocy, nie nawieźliśmy ich”. Na co ona odpowiedziała, że pluskwy biorą się same z siebie, a w ogóle szkoda, że nas nie zjadły, przeklętych Polaków. Mama umyła mi włosy i czesała, czego strasznie nie lubiłam, lecz wytłumaczyła mi, że jak nie będę się czesać, to wszy uplotą warkocz z włosów i zaciągną do Obila. Pozwoliłam się uczesać i podciąć włosy.

Wzięłyśmy nasze rzeczy z dezynsekcji i wróciłyśmy do baraku. Nie wiem ile było stopni w *bani*, ale mama nie stwierdziła pozytywnego skutku. Owszem, wszy wygrzały się, odżyły i teraz wzięły się za nas, kończyły to, czego nie zdążyły pluskwy. Mama przeglądała rzeczy, wyjmowała wszy i topiła je w wiadrze na brudy. Nie krępowala się, robiły tak wszystkie kobiety w baraku.

Tymczasem komendant zwołał na zebranie mężczyzn od szesnastego roku życia. Powiedział że wszyscy go znają z Kotłasu i że mianowano go komendantem. Ze wszystkimi sprawami należy zwracać się do niego przez starostów baraków, których sami sobie wybierzemy, bo u nich jest swoboda i on nikogo narzucać nie będzie.

Rozdzielił prace. Mężczyźni zdrowi i młodzi pracować będą w lesie jako *lesoruby*, a kobiety i *parniszki*, czyli szesnastoletni chłopcy, jako *izwoszczyki*. Będą zwozić budulec, bo trzeba stawiać nowe domy. Ci którzy znają się na budowie, mogą po pracy w lesie budować dla siebie, budulca nie zabraknie, jeżeli drwale będą dobrze pracować. Jest dzienna norma na ścięcie i wywóz drewna, lecz jeżeli ktoś będzie się starał, może zostać *stachanowcem*. Dostanie premię i lepsze jedzenie. Ci, co mają średnie wykształcenie i znają język rosyjski, zwłaszcza dziewczęta, inwalidzi i chorzy, mogą pracować w kantorze, przedszkolu i żłobku. Inwalidzi będą *markirowszczykami* znakującymi drzewo. *Brygadirami* będą Rosjanie, później mogą zostać i Polacy. Nie ma co czasu tracić na darmo i jeżeli nie ma pytań, trzeba brać się za robotę, bo wszystkim potrzebna *zarplata*. On życzy sobie aby był spokój i subordynacja. Nie wolno uciekać stąd, tworzyć tajnych organizacji i wychodzić na *zabastowki*. Nad zdrowiem wszystkich czuwać będzie felczerka Marusia (Marusia była Tatarką, miała skośne oczy, wystające policzki: była czarna, malutka i drobniutka o przemiłym, ujmującym uśmiechu, ale leczyć nie umiała i nie miała czym, bo brakowało le-

karstw. Na koniec życzył „dobrego” pobytu i kazał rozejść się i sposobić do pracy, bo trzeba zarobić na chleb.

Pierwszy odezwał się Staś Herba. Powiedział, że nie podporządkuje się komendantowi na znak protestu za gwałt, jaki uczyniono na Polakach przywożąc ich tutaj. Z zebrania nie poszedł do baraku, lecz w stronę Siennik, krzyząc głośno że ucieka do Polski. Tropin odwrócił się i poszedł w stronę komendantury. Po dwóch dniach enkawudziści przywieźli pana Stasia, ale ten na nowo wykrzykiwał, że jak tylko podleczy rany, jakie zadali mu czerwoni bandyci, ucieknie. Enkawudziści odjechali groźni i źli, a pan Staś w biały dzień, na oczach wszystkich „uciekł”. Komendant znów nie „regował”. Za jakiś czas przywieziono pana Stasia. Tym razem dłużej leczył pobite ciało i gdy tylko poczuł się na tyle dobrze, żeby móc chodzić, wziął laseczkę i kulejąc „poszedł” do Polski. Więcej pana Stasia nie przywieziono na Obil, ani nikt nigdy o nim nie słyszał i nie widział go. Biedny, stary ojciec co się nachodził do komendanta, co się nabłagał, by mu zwrócono syna, ale niestety, kamień w wodę. Przepadł pan Staś i słuch o nim zaginął.

Zaś młodszy brat pana Stasia, Tomek, od razu poczuł się *komunistą* i *stachanowcem*. Wychwalał ustrój i to, jak mu tutaj dobrze i bardzo szybko wziął *rozpiskę* z Marusią. Marusia była prawdziwie oddaną żoną. Z tego „dobrobytu” Tomciu miał długie wyroki i ciężką katorgę w kopalni za kradzież „socjalistycznego” mienia, czyli paru kilogramów pszenicy. A Marusia... cierpiała dole i niedole. Dziesięć lat

czekała na męża, pracowała, wozila paczki i zaocznie studiowała. Gdy Tomek odsiedział wyrok zabrała męża i natychmiast wrócili do Polski. Była lekarzem na Górnym Śląsku. W Polsce Tomek pracował w kopalni aż zginął w katastrofie górniczej.

Tymczasem dorosli i niedorośli poszli do nieludzkiej roboty. Trzymał ostry mróz. Do baraków przychodziła nauczycielka, ruda i dziobata i spisywała dzieci w wieku szkolnym. Mnie zapisała do pierwszej klasy, a Marysię do trzeciej.

Emil zdecydował, że będzie zwozić drzewo, nie będzie się uczył, bo tato nie zapracuje na nas wszystkich.

Gienio ciągle leżał, był bardzo słaby i chory.

Euzebiusz został *markirowszczykiem*. Z powodu chorej nogi nie mógł być *lesorubem* ani wozakiem. Numerował brygadom ścięte przez nich drzewo, lecz przy tej pracy musiał nachodzić się i namarznąć do tego stopnia, że wracał chory i nieprzytomny ze zmęczenia.

Praca jego nie trwała długo, nadwyreżana ciągle noga spuchła i rozbolała go do tego stopnia, że położył się na długie miesiące.

W baraku było ciepło, bo paliło się przez cały dzień. Za to w nocy można było oszaleć. Pluskwy jak wampiry wypijały z nas resztki krwi. Miejsca po ukąszeniach zamieniały się w śwędzące bąble a od drapania robiły się rany. Płakałam i drapałam się, to też wkrótce moja twarz wyglądała jak wielka ociekająca ropą rana. Mama prowadziła mnie do „ambulatorium” Marusi, ale ona oprócz szczerego współczucia ni-

czego nie miała. Smarowała mi twarz *margancówką* (rozpuszczone kryształki nadmanganianu potasu) i uśmiechała się litościwie. Nie pomagały mi ani smarowanie, ani jej uśmiech. Krosty zaogniały się, podchodziły ropą i pękały. Zalewały i kleiły oczy. Mój wygląd budził wstręt. Jedynie mama nie brzydziła się mnie, przecierała mi twarz czystymi szmatkami, tuliła, całowała i płakała gorzkimi łzami. Była bezradna wobec nędzy, brudu, głodu i pluskiew. Toteż w baraku tematem numer jeden były rozmowy jak „oblaskawić” te gady. Jedni mówili, aby ich nie zabijać, gdyż nie gryzą tych, którzy są dla nich „dobrzy”, inni radzili, by przy szparach w ścianach i pryzkach trzymać zapalone latarnie całą noc, wtedy nie wyjdą, a inni jeszcze co innego, ale wszystkie te spekulacje nie zdały się na nic. Byliśmy żywcem zjadani, a ja tak bardzo bałam się nocy, że pod wieczór dostawałam jakiejś trzęsionki i drgawek. Płakałam, nie spałam i innym zasnąć nie dawałam. Mama ślaniała się ze zmęczenia. Mogłam pospać w ciągu dnia, bo opite krwią wampiry kryły się we mchu między belkami. Za to w

dziń miejsce pluskiew zajmowały „tarakany”, które wystawiały swoje odwłoki z każdej szczeliny, a było ich tyle, że wyglądały jakby nanizane na sznurku korale rozwieszona na ścianach. Gdy tylko podnosiło się pokrywkę nad gotującą się zupą, jak grad wpadały do garnków i mimo głodu nie można było przelknąć takiej zupy. Brzydziłam się i bałam tego panicznie.

Zaatakowały nas anemia i szkorbut.

Wszyscy czekali na wiosnę i lato, bo wtedy będzie można spać na dworze i strychu, spodziewaliśmy się, że tam nie będzie pluskiew.

Rosjanie mówili, że wiosna i lato są upalne. Nie mieliśmy pojęcia jeszcze, jaka pluga czeka nas na wiosnę.

Ludzie masowo chorowali. Moja twarz nie goiła się również. Bracia leżeli. Zaczęły wypadać mi mleczaiki i mama martwiła się, jakie będą moje zęby przy tak straszliwej awitaminozie. Na dodatek złamała mi się szczoteczka do zębów, a o kupieniu nowej nie było co marzyć. Sprzedawca w ogóle nie wiedział, że coś takiego jak szczoteczka do zębów, istnieje na świecie.

Cd. w następnym numerze